

Od tamtego spotkania minęło już 35 lat. Artyści wciąż są przyjaciółmi.

Anna Dymna, Jerzy Zelnik

Wypadek, który ustrzegł ich od grzechu

Zagrali razem najgorętszą scenę miłosną.



Byli o krok od nawiązania gorącego romansu i porzucenia swoich rodzin. Ale nagle wydarzyło się coś, co powstrzymało ich przed tym krokiem.

Człowiek obdarzony jest wolnością wyboru. Bywa, niestety, że na własną i innych zgubę. Ale też bardzo często wtrąca się w jego życie Wielki Reżyser. Jedni odczytują to jako fatum lub szczęśliwy albo nieszczęśliwy przypadek. Inni widzą w tym wyższy Sens – wyznał ostatnio Jerzy Zelnik (70). Już rok temu aktor opowiedział w rozmowie z „Dobrym Tygodniem”, że z partnerką z planu filmu „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny”, Anną Dymną (65), połączyła go niezwykła fascynacja. Teraz w swojej książce „Szczere nie tylko o sobie” zdradził dramatyczne szczegóły tej historii.

Aktor nie ukrywa, że od razu poczuli do siebie miętę. – Podobaliśmy się po prostu sobie wzajemnie, mocno między nami iskrzyło. Ale oboje nie

byliśmy już wolni, więc uważaliśmy, aby nie posunąć się za daleko i nie narobić sobie kłopotów – wspomina Jerzy Zelnik. Był wówczas w związku małżeńskim z Urszulą, mamą ich syna Mateusza. Dymna w tym czasie była świeżo poślubioną żoną Zbigniewa Szota. To dzięki niemu aktorka podniosła się po śmierci pierwszego męża, Wiesława Dymnego.



Anna Dymna i Zbigniew Szot wzięli ślub na początku 1982 roku.

Choć Zelnik od 13 lat był w związku małżeńskim, a jego żona pojawiała się na planie, nie mógł powstrzymać swoich żądz. Ukradkowe spojrzenia, muśnięcia dłoni, pocałunki filmowe, w które oboje wkładali dużo serca, pchały jego i Annę ku gorącemu romansowi. Sceny miłosne odgrywane na oczach ekipy wzmagaly ten ogień. – Stan zachwycenia sobą, upajania się swoją bliskością nie mógł trwać długo. Musieliśmy podjąć jakieś decyzje – wyznaje aktor.



Jerzy Zelnik z ukochaną żoną Urszulą. Pozostali razem aż do jej śmierci.

Kiedy wszystko wskazywało na to, że będą trwać w ukradkowym związku, przyszło opamiętanie. Aktorzy mieli groźny wypadek. Zraniony koń poniósł sanie, na których siedzieli. Utknęli wtedy w ciężkich strojach historycznych w rozpadzionym pojeździe. Sanie się roztrzaskały, a oni, ranni, trafili do szpitala. Ten wypadek potraktowali bardzo poważnie, jako ostrzeżenie płynące z samej góry. – Powiedzieliśmy sobie, że nie przekroczymy granicy, która dzieli romans filmowy od życia. Popłynęło trochę łez – wspomina dziś tamte chwile Jerzy Zelnik. Odczytuje to wydarzenie jako przestrożę, która powstrzymała ich przed podążaniem niebezpieczną ścieżką. W porę z niej zawrócili i do dziś łączy ich tylko piękna przyjaźń.